

665



Fot. ZOFIA NASIEROWSKA

O Ninie Andrycz krąży mnóstwo legend. W dzielnicy, w której mieszka, personele sklepów spożywczych zwraca się do niej — królowo. Nie wiąże się to w żadnym przypadku z pozycją żony eks-premiera, tylko z jej repertuarem scenicznym. Ostatnio publiczność może podziwiać niepowtarzalną indywidualność artystki tylko w „Tangu” Sławomira Mrożka na scenie Teatru Polskiego, gdzie gra rolę babci Eugenii. Otóż w zielonej bluzie treningowej i takich spodniach pani Nina ma sylwetkę o wiele zgrabniejszą od swego scenicznego wnuka.

● Jak pani to robi?

— Zwykle jadłam potrawy lekkostrawne i nie za dużo. A kiedy robię wyłom, tak jak dzisiaj z panią, a jem tort migdałowy domowej produkcji, zrobię w przyszłym tygodniu dzień diety — czyli poprzestanę wyłącznie na czterech szklankach mleka.

● Tort jest rzeczywiście wyśmienity. Czy to pani dzieło?

— Nie. Moich serdecznych przyjaciół. Nie nawidzę gotowania.

● W ubiegłym roku obchodziła pani jubileusz 55-lecia pracy artystycznej. Patrząc na panią aż trudno w to uwierzyć.

— Jubileuszowa data się zgadza, ale hucznych obchodów nie było. Nie lubię akademii „ku czci”.

● Stwierdziła pani kiedyś, że aktorstwo jest zawodem tragicznym. Dlaczego?

— Sztuka aktorska jest tak krótkotrwała, jak przelot obłoków po niebie. Po rolach filmowych i telewizyjnych zostają jedynie zdjęcia, bez fluidów żywego człowieka.

● Najczęściej gra pani kobiety o silnej indywidualności. Czy w życiu prywatnym też jest pani taka stanowcza?

Z NINĄ ANDRYCZ

aktorką Teatru Polskiego

— rozmawia Małgorzata Jungst

— Owszem. Urodziłam się pod znakiem Skorpiona. Jak większość ludzi spod tego znaku stawiam duże wymagania sobie i innym. To niestety nie ułatwia życia. Ale — trudno.

● A jaki wpływ na pracę zawodową mają te cechy charakteru?

— Pozytywny. Jestem bardzo zdyscyplinowana. Na ogół pierwsza umiem rolę na pamięć, nie spóźniam się i podczas prób powtarzam cierpliwie i wielokrotnie tekst. Zresztą moja znana recepta na dobre samopoczucie kobiet brzmi: pracować samodzielnie i nigdy nie uzależniać się całkowicie od mężczyzn.

● Wielkie aktorki czasem piszą pamiętniki. Pani — poczcie. Wiersze odsłaniają zupełnie inną Ninę Andrycz. Bardzo liryczna, melancholijna. Odnosi się wrażenie, że przeżyła pani jakieś nie spełnione uczucie?

— To prawda. On, pan z wierszy, także

mnie kochał, ale był już żonaty z mądra i dobrą kobietą. Rozbijać małżeństwo przed wojną było rzeczą prawie niemożliwą. Toteż nie rozbiliśmy...

● Czy lubi pani żyć wspomnieniami?

— Lubię wszystko pamiętać, ale nigdy nie budowałam teraźniejszości na wspomnieniach.

● Jaki bal karnawałowy utkwił pani w pamięci?

— Chyba ten w Bristolu, na którym wystąpiłam w kremowej, atlasowej sukni i wybrano mnie królową mody. A później bal (na rok przed wojną), kiedy to zdobyłam nagrodę za urodę. Miałam bardzo obcisłą suknię, wydekoltowaną, białą, z peleryną z białych lisów. Z lubością fotografował mnie w tej kreacji pan Dorys. Nikt z nas nie przepuszczał, że za kilka miesięcy, aby utrzy-

mać się przy życiu, będziemy musieli pracować np. jako kelnerzy.

● Wróćmy do dnia dzisiejszego. W czym panią zobaczymy na scenie Teatru Polskiego?

— Dyrektor Dejmek rozmawiał ze mną o wystawieniu „Wizyty starszej pani” Dürenmatta. Sztuka podoba mi się.

● Pani ulubiony polityk?

— W przeszłości? De Gaulle, Nehru, Piłsudski. Obecnie długo by szukać, bo do każdego nazwiska mam jakieś zastrzeżenia. Słyszemy okrągłe frazesy, a na przykład o aborcji, poza jednym Cimoszewiczem, nikt słowa nie pisał. Czyżby ten problem nie interesował i wierzących i niewierzących polityków? Uważam, że kobietom od wieków dzieje się bardzo wielka krzywda. To inni zawsze decydowali, jak mamy żyć i postępować. Czas najwyższy abyśmy same o tym rozstrzygały.